



Stanowisko etnografii w dobie obecnej.

Niema chyba geografa lub etnografa, któryby nie przechodził przykrych i zniechęcających chwil, nie mogąc po długotrwałem błędzeniu pośród całej kolekcji książek odnaleźć potrzebnych danych, czasem drobnych zupełnie, któreby były potwierdzeniem faktycznem dla jego hipotezy lub chwziejnej wiadomości.

Zwłaszcza dane z życia różnych ludów bywają tak różne i takie nieobliczalne przechodzą ewolucye, że należy mieć je z najlepszych i najgruntowniejszych źródeł.

A źródła te są również liczne, jak



TYP MOLDAWIANINA
Z BESARABII

fol. M. Greim
ze zbiorów Polsk. Tow. Krajozn.

liczni są pracownicy na tem polu. Stąd u ludzi, którzy dużo czasu na błakaniu się w literaturze drukowanej stracili, powstała myśl ugrupowania systematycznego dzieł istniejących, a więcej jeszcze powstających, w tak zwaną „Encyklopedyę Etnograficzną”. Podwaliną tej myśli jest poważna i rozległa praca zapoczątkowana w Anglii przez Northcote W. Thomas’a: „The native Races of the British Empire”.

Dotąd wyszły z tego cyklu książki takie: I N. W. Thomas’a „Australia”; II. A. Wernera „British Central Africa”, III A. Hill-Tout’a „British



North America; IV W. Crooke'a „Northern India” (Londyn 1907).

Jednocześnie zaś w Belgii powstaje wydawnictwo „Monographies ethnographiques” pod red. Cyrille van Overbergh'a i M. de Yonghe'a, którego pierwsze prace traktują o ludach Kongo, mianowicie: „Les Bangala” i „Les Mayombe”.

Rzadko która gałąź wiedzy rozwija się w ostatnich 20 latach tak szybko, jak etnografia. Tu należy zwrócić uwagę na chaos, jaki panuje w pojęciach terminów: etnografia, etnologia, antropo-geografia i t. d. Nie chcemy się tu wdawać w bliższą dyskusję na ten temat, z powodu którego uczony amerykański dr. Brinton proponuje przyjęcie następującej nomenklatury wszechświatowej dla nauki antropologicznej.

1. Somatologia=antropologia fizyczna i doświadczalna.
2. Etnologia=antropologia historyczna i analityczna.
3. Etnografia = antropologia geograficzna i opisowa.
4. Archeologia= antropologia przedhistoryczna i odbudowująca.

Podział ten, jakkolwiekby my się nań zapatrywali, jest jednak ściśle logiczny, jako że znajomość budowy, pochodzenia i rozwoju człowieka jest podstawą etnologii i etnografii. Co do tych dwu ostatnich niektórzy autorzy jak np. Deniker uważają te terminy za jednoznaczne, różnie używane tylko w zależności od krajów.

Geografowie angielscy mają etnografię za naukę opisową, etnologię — za eksperymentalno-porównawczą, sami jednak idą dalej niż ich terminy oznaczać mają, gdyż wszystkie nowe etnografie nie są li tylko opisowe, ale i rozumowo-porównawcze.

„Naród”—„etnos” leży u podstawy zarówno jednego, jak drugiego pojęcia, a zakres i metoda każdej z tych gałęzi wiedzy antropologicznej zlewają się jeszcze bardziej niż geologie i geografii dzisiejsze.

Termin etnografia użyty został po raz pierwszy w r. 1826 przez M. Balbi'ego w tytule pracy: „Atlas etnograficzny”. Dzisiaj nauka ta wypowiada się szeregiem wydawnictw, które są jednocześnie materiałami dla proponowanej encyklopedyi.

1. Więc najpierw wielkie słowniki geograficzne jak np. edagowany przez Vivien de Saint-Martin'a i Rousselet'a. Mamy w nich artykuły o różnych ludach, wyliczenie zlepek cech, dalekie od krytycznej bibliografii. Podobnie w encyklopedyach ogólnych.

2. Podręczniki, będące przeważnie dziełem jednego autora, np. Peschela, Ratzela, Denikera, Schurtza, Muellera. Są one ogólnikowe ze względu na rozmiary i mało mają syntez ogólnych.

3. Monografie, w które ostatnimi laty obfitują Stany Zjednoczone, Niemcy i Anglia. Te trzy kraje mają też najbogatsze muzea, publikacje i ankiety.

W Stanach Zjednoczonych ruch ten zapoczątkował Powell; przy jego staraniach powstaje „Bureau of Ethnology” (Biuro etnologiczne).

Młodsze ale bardzo czynne „American Museum of Natural History” w New-Yorku wydaje opis przedsiębrań Boasa (pośród eskimosów), Lumholtza (w Meksyku) i Ekspedycyi do bieguna półn.

„Field Columbian Museum” w Chicago specjalizuje się w badaniach indyan Ameryki północnej. Uniwersytet kalifornijski studjuje indyan tegoż stanu. Dalej uniwersytet w Filadelfii, L'American Folk-Lore Society i t. p. rywalizują z Waszyngtonem, New-Yorkiem i Chicago.

Ten ruch wzmagą się coraz bardziej, dzięki inicjatywie osób prywatnych i rządu, z którymi instytucje i uczeni idą ręką w rękę jak rzadko w Europie.

W Anglii działalność etnograficzna jest w większości wypadków indywidualna. Bez pomocy oficjalnej (rządowej) Spencer, Gillen, Haddon, Howitt, Thomas, Seligmar Westermarck i wielu innych poznają gruntownie Australię; Denett — Bawili, Rivers — Toda, Skeat — tubylców Malaju, miss Werner — Brytyjską Afrykę Wschodnią i t. p.

Co do Indyi sytuacja przedstawia się lepiej.

Od 1881 r. wielu urzędników angielskich obejmuje w raportach statystycznych dane etnograficzne. Jedną z najbardziej syntetycznych prac jest dzieło „Tribes and Castes of Bengal” (1891) Risleya i „Tribes and Castes of North-Western Provinces” (1896) W. Crooke'a.



Następnie powstaje w Indyach przez rząd angielski założone „Etnographical Survey”, którego cel i zakres biuletyn z r. 1901 tak określa:

1. Każdy rząd miejscowy wyznaczy nadzorcę etnografii, który będzie zdobywał dane etno i antropologiczne. Nadzorca nawiąże bezpośrednio stosunki z tubylcami informatorami, znającymi tradycje i obyczaje okolicy, da im kwestyionaryusz—a sam centralizować będzie dane, wzorując się na książce Risley'a i Crooke'a. W budżecie jeneralnym Indii widzimy 75,000 fr. rocznie, przeznaczone dla nadzorców i ich informatorów.

Ta olbrzymia praca (Indye liczą 192 miliony ludności), rozpoczęta niezwłocznie, dała już pewne rezultaty, mianowicie dzieło: „Etnographic Notes in Southern India” (1906) przez Thurtona, nadzorcę prowincji Madras

Jeżeli zważymy, iż o zorganizowanie „Etnographical Survey of India” zwróciło się do rządu brytyjskiego „T-wo Brytyjskie postępu nauk” w końcu 1899, widzimy, iż Anglia nie zwleka w przeprowadzaniu swych planów, nawet będących nie na rękę rządowi.

Poza tą organizacją widzimy również inicjatywę prywatną, której dowodem ostatnia książka Rivers'a „Les Toda” Indyi Zwrotnikowych.

Ale Anglia ma wszak swe posiadłości we wszystkich częściach świata, więc też „Brytyjskie t-wo postępu nauk” tworzy komitet „Canadian Ethnographic Survey Committee”. Przytem rząd miejscowy współdziała z C. Hill-Tout'em oraz innymi uczonymi, i oto Kolumbia, Vancouver, Alaska są porydlone nieledwie pięciami angielskich i amerykańskich badaczy.

Najmniej względnie zainteresowania okazuje Anglia do Ameryki Południowej i Afryki. Afryka Wshodnia była szczęśliwsza dzięki usiłowaniom sir H. H. Johnstona, nowsze wyprawy są dopiero w projekcie.

Niemcy najpóźniej weszły w posiadanie kolonii, ale zdawałoby się, że chcą zdystansować wszystkich starszych władców. Trzeba tu podkreślić zasługi Bastiana, który stworzył całą szkołę zamilowanych, entuzjastycznych etnografów.

Publikacje berlińskiego Muzeum Etnograficznego obejmują *nie tylko* kolonie niemieckie. Niezliczone też monografie pojawiają się w „*Zeitschrift für Ethnologie*” w Berlinie, „*Archiv für Anthropologie*” i „*Globus*” w Brunswiku, „*Archives Internationales d'Ethnographie*” w Leydzie i t. p. Rząd niemiecki popiera znacznie wysiłki uczonych, wzbogacanie zaś istniejących muzeów etnograficznych przeszło u nich wprost w stan gorączkowy.

I mają w tem dużo racji. Ostatnie bowiem lata wprowadzają takie modyfikacje w mapie etnologicznej, że trzeba się śpieszyć, by ocalić dowody istnienia oryginalnych naturalnych zbiorowisk. Niema jednak w Niemczech takich instytucji, jak angielskie w Indyach i Kanadzie, ujednostajniających metodę.

W każdym razie bogactwo ognisk studyów etnograficznych, jak Breme, Hamburg, Brunswick, Lubeka, Berlin, Lipsk, Drezno, Monachium, Kolonia i inne, z katedrami, wydawnictwami i muzeami, zarówno jak poparcie osób prywatnych (np. Baessler przeznaczył 3 mil. fran. na Instytut Etnograficzny w Berlinie) pozwala przewidywać coraz poważniejsze stanowisko Niemców w etnografii przyszłości.

Belgia zajmuje tu również nie ostatnie miejsce. Inicjatywa ruchu ostatniego wyszła od grupy uczonych, jak Cyrille van Overberg, Halkin i inni; w porozumieniu z „Towarz. Geograficznym” i „Belgijskiem Tow. Socyologicznym” stworzyli oni kwestyionaryusz, ułatwiający samodzielną pracę etnograficzną, oraz katedrę na uniwersytecie w Liège. Ważniejsze z wydawnictw ich są: „Musée du Congo”, „La Belgique coloniale” oraz zapoczątkowana „Monografia Etnograficzna”, o której już wspominaliśmy wyżej.

Holandya skoncentrowała się do przesady w Indyach Niderlandzkich. Specjalizacja ta byłaby pożądana, gdyby ją poprzedzało dobre przygotowanie, a przyświecał jasno określony cel. Ale przeważnie lekceważą i nienawidzą oni ludy rdzenne i dalecy są od jakiegoś porównawczego stanowiska (z innymi ludami indoeuropejskimi np.).

(DN)

Marya Czaplicka.





DWIE ŚWITEZIE. 7)

— Jakie Saskie waly?—A.. o.. tam.. Widzi pan? Tam za dziadów naszych... ze sto lat będzie, stały wojska takich niemców, co się „Sasy” nazywają, których cesarz francuzów naprowadził („Rzeczywiście” dodaje autor w odsyłaczu, „były to austriacko-saskie korpusy wojsk napoleońskich, dowodzone przez Schwarzenberga i Reyniera, które pozostawiły po sobie okopy w Lubomlu”. Luboml oddalony jest od Szacka o 35 wiorst, licząc wzdłuż szosy, u nas w Świtezi nikt o okopach saskich nie mówi i takich okopów nie widzieliśmy). A tam znowu, co widać te górkę, to „tatarskie chołmy” Dawniej ciągle te pohany zalatywali na rabunek, ale myśmy ich raz wypędzili na ten przesmyk, przez który panjechał pomiędzy jeziorami i potopiliśmy w „Czarnem jeziorze” jak złe sobaki, potem wyłowili wszystkie trupy, żeby się ryby od pohańskiego mięsa nie potruły i zakopali je w piasku. Czasem w nocy wyją pod ziemią jak wilki, a psy z całej wsi z nimi razem... Człowiek ja stary i bywałem po świecie i wojny widziałem, a w taką noc to wyjść z chaty niema ochoty.

Stuchałem z przyjemnością starego gaduły, rozpatrując się ciekawie po okolicy, którą jednakże zasłaniał młody zagajnik, rozciągający się przed nami.

Ot tam, już Świtez! Za lasem?—pytam. Nie ten las, to sioło Świtez!... kilkanaście lat temu prawie cała wieś spaliła się, więc teraz na obronę od ognia poobsadzali ludzie swoje sadyby sośniną. Błysnęło coś... zaświeciło, zaśniło pomiędzy sośninami... woda? To Luka, niewielkie jezioro, co łączy się ze Świtezią... całe jezioro zobaczy pan z tamtej strony wsi... tu drzewa zasłaniają. Wjechaliśmy do wsi Świtezi. Bardzo ciekawe takie sioło polskie: po obu stronach ulicy stoją gęsto obok siebie nieduże typowe chaty i zabudowania małe, ubogie, słomą kryte, ale dosyć porządnie utrzymane. Przed każdą chatą wrota, przy każdym prawie wrotach krzyż wysoki drewniany, a za parkanem maleńki ogródek, wiśniowy. Ściany chatyn ugarniowane porozwieszanymi na sznurach żółklymi, wysuszonymi liśćmi kapuścianymi, których używają do pieczenia chleba.

Staliśmy przed wrotami jakiejś chatyny, a przeprowadzeni przez podwórko i ogródek, znaleźliśmy się nagle niespodziewanie nad samym brzegiem jeziora. To rozumiem! To jezioro. Dobrze trzeba sięgnąć wzrokiem, aby dojrzeć hen... hen... w oddali, na drugim brzegu wąziutką czarną linię lasu... a przecież to tylko szerokość jeziora!

Wiatr dość silny pociągał od północy... rozko-

kolysane, o srebrzystych grzbietach fale biegną jedna za drugą do brzegu... ku mnie i szumią... szumią... jakąś harmonijną odwieczną pieśń smutku czy radości, niestety, dla człowieka niezrozumiałą. Podpłynęła maleńka „duszehubka”, prowadzona sprawnie po falach przez poleskiego gondoliera, który za marnego rubla oddawał mi się na cały dzień do rozporządzenia. Płyniemy naturalnie na wyspę! Co to była za rozkosz! Dziś, gdy sobie przypomnę tę chwilę, ten pobyt na jeziorze — jaśniej się jakoś na duszy robi...

Ej! ty nasza bogata, strojna, wspaniała Warszawo, jakaś ty banalna i beztreściwa i marna w swej burżujowskiej pysze, wobec przepotężnego ogromu uroków nie zblazowanej, jak ty, przez ludzi natury. Gdyby tu można zostać na zawsze... na zawsze... nie wracać do tego murowanego labiryntu! A gdyby tak do świtezianek, do tego zatopionego grodu... w głąb..., w spokój... i stać się może wodnikiem i przez wieczność całą płaść po tych srebrzysto-zielonych, pięknych falach ze świteziankami! A na noc w lożu srebrnej topieli, pod namiotami zwierciadeł, na miękkiej wodnych lilijek bieli, wśród boskich usnąć widziadeł? Co?... Jeden ruch!!! Nie można! Niestety, nie można... bo wielki, okropny tajemniczością „znak zapytania”, odbiera w takich chwilach energię i... każe nadal wlec okowy życia. Nie tobie igrać przez srebrne fale lub nurkiem pluskać w głąb jasną. Wyskakuję na wysepkę... Nie duża..., zadrzewiona, ale dębów, okopconych ofiarnymi dymami już niema; dziś tutaj, jak i na całym świecie, w puszczy po dębach-tytanach ciągnie z tej świętej niegdyś ziemi odżywcze soki... charactwo... krzaki...



B. KOŚCIÓŁ W STOŁOWICZACH

fol. B. Danieyko



Lecz dęby tu być musiały i ofiarne ołtarze także... duszą się to czuje... Tu składano ofiary krwawe... tu święcono zdrowodajne zioła i ogień pierwiastek życia, w nockę... „Kupały”.

Zagasty na zawsze święte ogniska, umilkły na zawsze pienia ofiarników, została tylko fala ta sama, niebo to same i snadź jakiś pierwiastek dawnej modlitwy umarłych przed wiekami pokoleń, bo wchłaniając w pierś unoszące się tu nad ziemią opary, odrywam się duchem od świata moich codziennych wrażeń, łączę się z obszarem wody, z zielenią drzew, z szafirem nieba... Ginę w ogromie otaczającej mnie przestrzeni i ogarnia mnie wielkie pragnienie czegoś..., jakaś tęsknota za czemś..., czego słowo wypowiedzieć nie zdolne..., czego uświadomić sobie nie jestem w możności! Korzę się przed jakąś siłą potężną, ogromem nieskończonym... przed...?

Hej, na wodę, na przestrzeń...!

— Teraz, panie, to ono spokojne, ale kiedy rozdmucha się jesienna „wjuga”, to strach popatrzeć nawet na „rozkiel dane” fale, co brzegi aż pod samą wieś zalewają... Jak jezioro się gniewa, człowiek człowieka na brzegu nie słyszy, choćby nawet do ucha mu krzyczał.

„Burzy się, wzdyma i wre aż do dna, kręcącym nurtem pochwyca, rozwiera paszczę otchłai podwodna”, przypomniałem sobie słowa naszego wieszczka, czując wprost pewną przykrość, że to nie to jezioro, nie ta Świtezianka została w jego balladach.—Przybiliśmy do brzegu.

Na nocleg zaprosiłem się do chaty, w której dożywał ostatnich dni swoich, wspomniany przez starostę Mykita, a ten, paląc z ogromnym zadowoleniem moje papierosy, opowiadał mi o zatopionym grodzie, o świteziankach, topielicach, o węzłach olbrzymich „położach”, co wylażą z jeziora i owce, cieleta, krowy, a nawet ludzi duszą.

Żółtawy blask księżyca świetlaną smugą wpadł do wnętrza chaty przez małe okienko... Wyszedłem na świat... nad jezioro... Ciszal... Ta bajeczna, wiejska cisza, przecinana od czasu do czasu oddalonym szczekaniem psów, krzykami dzikich kaczek, gęsi, żórawi, derkaczów, chichotem puszczyków i kwileniem drobnego pta-



KOŚCIÓŁ W LUBOMLU

fol. B. Danieyko

ctwa, drobiazgu... cisza, szumiąca w uszach tajemniczą melodyę nocy!

Ponad spokojnem, za ledwie lekko się marszczącym jeziorem, unosily się jakieś fantastyczne, białe cienie, wysmukłe, wiotkie... Zataczały one, jakby korowód taneczny, kładły się sennie, lubieżnie na fali, unosily w powietrzu, snuły... snuły bez końca, przed oczami, a choć mi powiedziano, że to tylko opary, wieczorem z pobliskich moczarów napędzone wiatrem na jezioro, jam szukał w nich kształtów „świtezianek””.

Taka jest pierwsza wiadomość o Świtezi wołyńskiej z działu naszej literatury nadobnej. Poetyczny opis pobudzić może niejednego z turystów do zwiedzenia zakątka ziemi, tak blizkiego od nas a tak zapomnianego.

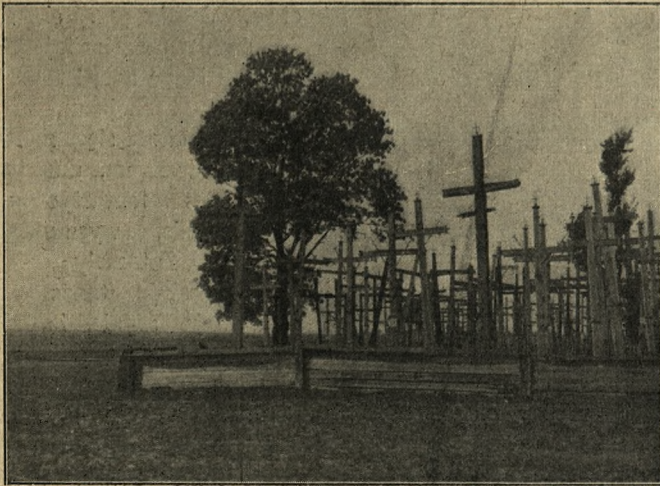
Ten opis pobudził i nas do pójścia śladami p. Wł. Renarda (S. Czarnockiego) i tej jeszcze jesieni postanowiliśmy zwiedzić okolice przez niego opisane. W naszej podróży brał udział nowogrodzianin, p. Bolesław Danieyko, artysta-fotograf, entomolog, znawca fauny motylów krajowych, niezmordowany zbieracz przedmiotów, dotyczących przeszłości kraju, a do tego człowiek, który zwiedzał wiele krajów, poczynawszy od wybrzeży oceanu Lodowatego do brzegów morza Czarnego.

Droga nasza wiodła szlakiem przez Horodyszcze, Stołowicze do Baranowicz, następnie koleją t. zw. Poleską z Baranowicz przez



GÓRA ZAMKOWA W LUBOMLU

fol. B. Danieyko



MOGILNIK W ZAHORANACH

fol. B. Danieyko

stacye: Sarny, Kowel do Lubomla, odtąd po szosie do Szacka i do Świtezi.

Opis tej naszej podróży podaję szczegółowo, żeby dać możność przyszłym podróżnikom zapoznać się z okolicznościami, towarzyszącymi takiej podróży u nas.

Wyjechawszy wieczorem z Baranowicz, stanęliśmy wczesnym rankiem na stacyi Lubomla, noszącej dziś nazwę „Zawałje”. Ze stacyi ruszyliśmy do miasteczka. Dzień jasny, pogodny (22 września) sprzyjał naszej wycieczce.

Lubomla albo Lubomla ma za sobą przeszłość historyczną, ale na nas, po raz pierwszy tu przybyłych, miasteczko zrobiło wrażenie takie, jak robią wszystkie żydyżale miasteczka na Litwie, więc smutne i przykre. Stanęliśmy w jedynym, jak nam powiadano, zajęździe żydowskim, mieszczącym się w niskim parterowym domu drewnianym; pomimo bezsennie spędzonej nocy w wagonie, postanowiliśmy nie wypoczywać w brudnym zajęździe, ale natychmiast po herbacie wyruszyć na miasto.

Ozdobą miasteczka jest świeżo odnowiona i biało pomalowana kredą jurajską wspaniała synagoga, pamiętająca jakoby czasy Jagiellońskie, a nawet Kazimierzowskie. Drugą ozdobą rynku są kramy murowane. Rynek jest obszerny, pusty, nie brukowany. Do rynku przytyka wzgórze dawnego zameczku, dziś porośnięte drzewami, zameczku pono Olgierdowego.

Usłużny żydek z zajazdu zaprowadził nas przed pałac Branickich, w których ręku była Lubomla w XVIII w., murowany, piętrowy, w którym mieszczą się obecnie jakieś urzędy powiatowe, i który w danej chwili poddawany był restauracyom budowlanym. Nie wstępowaliśmy też do niego, lecz przez niski przełaz dostaliśmy się do t. zw.

parku, założonego przez Branickich, obecnie przekształconego przeważnie na sad owocowy. Od sadu, odgrodzone pierwotnem oparkaniem, wznosi się wzgórze zameczka Olgierdowego; wstępując na nie od strony parku, natrafiliśmy na otwarte wejście do piwnic, które dzisiaj, jak widać, służą za chlewy dla bydła; posadzkę pokrywa gruz. Zaświeciwszy zapalnikami, obejrzelśmy trzy—jedno za drugim następujące po sobie starożytnie sklepienia piwniczne, pozostające dotąd jeszcze w dobrym stanie. Na szczycie wzgórza od strony parku widzieliśmy szczątki muru z cegły budowanego. Z wyniosłości wzgórza zameczkowego zdjął p. Danieyko widok na rynek wraz z synagogą i kramami murowanymi.

Spuściwszy się ze stromego wzgórza i przekroczywszy suchą dziś fosę, następnie przelazłszy przez oparkanie również dosyć prymitywne, stanęliśmy na rynku. Bocznią uliczką poszliśmy ku kościołowi, mając zamiar odwiedzić proboszcza i od niego się dowiedzieć o szczegółach, dotyczących jeziora Świtezi. Śliczny ranek jesienny, ciepły, słoneczny, zapowiadał dzień piękny. Z ulicy wchodzi się do ogrodzenia kościelnego przez dużą piętrową, murowaną budowlę, stojącą do uliczki frontem; poza nią wznosi się kościół, fundowany przez króla Władysława Jagiełłę. Wszedłszy do ogrodzenia, zapytaliśmy stróża, dziada kościelnego, czy proboszcz jest w domu; odebrawszy potakującą odpowiedź, poszliśmy do małego domku plebanii, otoczonego od frontu ogródkiem kwiatowym i przytykającego z tyłu do niewielkiego sadu. Drzwi wchodowe zastaliśmy zamknięte i dzwonek zepsuty — na pukanie nikt nie odpowiadał, szukaliśmy tedy wejścia od strony sadu; ostatecznie okazało się, że proboszcza niema i że zastąpić go musi zakrystyan.

Po pewnej chwili otwarto drzwi kościoła. Tu z ust zakrystyana dowiedzieliśmy się, że tylko jedna część kościoła pamięta czasy „Jagiellońskie”, bo inne zostały odbudowane później, po pożarze, który zniszczył kościół; następnie pokazał nam obraz Matki Boskiej cudownej, zwykle zakryty. O jego cudach świadczą różne wota, umieszczone obok obrazu—nogi, ręce i serca.

Z rozmowy z zakrystyanem dowiedzieliśmy się, że parafia katolicka liczy około 2,000 osób, że we wsi Świtezi mieszka gospodarz, średnio zamożny, katolik, Krzesicki, ożeniony z Dawidczyńską; z racyi jednak, że on, zakrystyan, nie był we wsi, więc nie wie, czy u Krzesickiego będziemy mogli znaleźć czasowe pomieszczenie. Co do samego jeziora Świtezi, to on nic o niem nie wie. Po



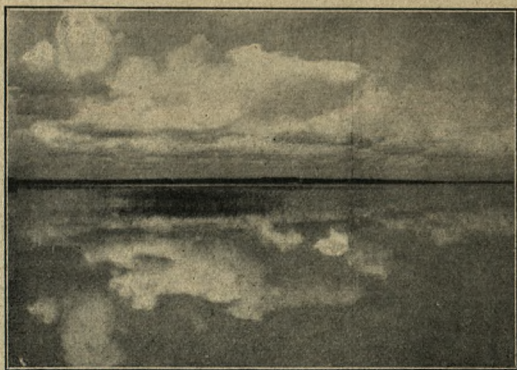
zwiedzeniu kościoła, poszliśmy zdejmować fotografie kościoła od strony owej wspomnianej budowli, następnie rynku wraz z synagogą, kramami murowanymi i wzgórz zameczkowego. W trakcie tych zajęć, zostaliśmy przez stróżów powagi państwowej zawezwani do legitymacji paszportowej; zabrano nam paszporty, obiecując odnieść je do zajazdu, dokąd udaliśmy się dla przygotowań do dalszej podróży. Wprędce potem przyniesiono paszporty z oświadczeniem, że niema żadnej przeszkody ze strony władzy na naszą wycieczkę „turystyczną”. Podobno indagacja taka kończy się niezawsze również pomyślnie, i tego właśnie lata kilka osób, które się podejrzane wydały, zostały aresztowane.

Dostawszy tedy oficjalne pozwolenie na dalszą podróż, staraliśmy się o konie. Przy pomocy nieuchronnego faktora i po długim targu stanęło na tem, że za parę koni i bryczkę do Świtezi, czyli za 36 wiorst drogi mamy zapłacić 4 rb. O godzinie 11-ej zajechała bryczka na resorach, zaprzężona w dwa dosyć dobrze utrzymane konie. Woźnica, żyd Lejzor, mańkut, co jest rzadkim wypadkiem u żydów, miał być naszym „cicerone”, bo jak powiada, zna doskonale okolice i bywał nieraz we Świtezi. Zaraz na wstępie zapytaliśmy go, czy zna gospodarza Krzesickiego i czy słyszał co o starym Mikicie ze Świtezi; okazało się, że ich nie zna; lecz za to zna wszystkich żydów, tam zamieszkających, których ma być „dużo” we wsi, jak nam oświadczył...

Przejechawszy parę nędznych uliczek nie brukowanych, a po niedawnych deszczach jeszcze zupełnie oschłych, jesteśmy na szosie rządowej, dobrze utrzymanej, usypanej szabrem granitowym, bitym ze skał finlandzkich, przyniesionych tu przez lodowce, a także z szabru porfirowego wołyńskiego, miejscowego pochodzenia.

Zaraz za miasteczkiem Lubomlem szosa spuszcza się dosyć stromymi ustępami w kierunku ku Szackowi. W polu widzimy czerwone maki polne (Papaver argemone), których niema wcale w Nowogródzkim, a wraz z makiem „krasnym” zjawiają się i krasne ubiory kobiet, pracujących w polu. Okolice, przez które przejeżdżamy, są bezleśne; tylko po wzgórzach piaszczystych porasta nikła sosna i jałowiec o formie piramidalnej, na którą zwraca naszą uwagę p. Danieyko. Daleko na horyzoncie czernieją lasy, jak nasz woźnica objaśnia, rządowe.

Dojeżdżając do wsi Zahoran, widzimy po lewej stronie cmentarz wioskowy, mający zupełnie odmienny wygląd, aniżeli cmentarze wiejskie w Nowogródzkim. Cały las krzyżów wznosi się chaotycznie do góry, każdy zaś z krzyżów nosi na szczycie mały krzyżyk metalowy. Roślinności drzewnej na cmentarzu prawie niema tutaj, gdy



JEZIORO W ZAHORANACH

fol. B. Danieyko

przeciwnie w Nowogródzkim starają się na cmentarzach zasadzać drzewa i krzewy. Szosa jest odtąd obsadzona z obu stron dwoma rzędami wierzb, na których mało już liści, bo je zniszczyły gąsienice. Przed 16 wiorstą spostrzegamy z lewej strony drogi świecąca niewielką powierzchnię jeziora; ma to być jezioro zwane Zahorańskie małe; parę razy błysnęła powierzchnia wodna i znikła, tak, że myślelibyśmy, iż to było złudzenie, gdybyśmy się nie przekonali na mapie, że w tym kierunku rzeczywiście znajduje się rzeczne jezioro; wprędce potem ujrzeliśmy inne jezioro, leżące po prawej stronie drogi i brzegiem sięgające aż prawie do szosy, od której oddziela je wązka łączka. Brzeg jeziora stanowi czysty, białawy piasek. Zatrzymujemy się, ażeby się przypatrzeć pięknemu widokowi i podchodzimy do wybrzeża; woda tu płytka i głębokość zwiększa się powoli, tak, że dopiero, poczynając od pasa sitowia, otaczającego brzeg półkolem, głębie sięgają powyżej metra; odtąd też dno staje się ciemne. Już od samego brzegu dno piaszczyste porasta drobnymi kępkami, tak zwanego „mchu wodnego” (Chara sp?). Fale wodne wyrzucają ten mech wodny, a zarazem skorupki ślimaków, skójek i kawałki panczerza raków wraz z ich kleszczami; sądząc po tych kleszczach, gatunek tutejszy należy do tak zwanych raków szczupłopalczastych (*Astacus leptodactylus*). Ani tej rośliny, ani ślimaków, skójek i raków niema we Świtezi nowogródzkiej. Ogólny widok jeziora wspaniały; obszar jego znacznie większy na oko od obszaru naszej Świtezi, lecz ustępujący jej pod względem piękności otoczenia. Gdy Świtez nowogródzka zajmuje obszar, wynoszący 300 morgów, to obszar jeziora Zahorańskiego wielkiego wynosi 600 morgów. Od jeziora droga zwraca na lewo, a patrząc w dal przed siebie, w kierunku szosy, zdaje się, że się wznosi ponad poziom jeziora. Nie dojeżdżając do lasu rządowego, widzimy na prawo od gościńca na łące jakąś groblę, biegnącą prawie równoległe do drogi; na niej samej i na jej bokach leżą nagromadzone kupy żużli żelaznych.



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



23. Z POW. ŚWIECIAŃSKIEGO

fo. K. Kulwiec

Nasz woźnica powiada, że te żuźle wożą włościanie do Lubomla, że płacą im po 5 kopiejek od puda i że całe wagony wysyłają koleją w kierunku Lublina. Czy była tu kiedyś huta żelazna, woźnica nie wie.

Las rządowy, przez który następnie przejeżdżamy, składa się prawie wyłącznie z sosen wysokopiennych. Za lasem droga obniża się znowu; na gościńcu martwo i cicho, ani ludzi, ani ptactwa nie widać, jedynie t. zw. szklarze szybkostrzelne i ważki szklisto-skrzydłe (*Aeschna juncea*, *mixta*, *grandis* *Sympetrum vulgatum*, *striolatum*, *scoticum*) otaczają nas prawie rojem; przejeżdżamy przez okolice smutne, z obu stron drogi widać moczary, gdzieś stoją małe stożki siana błotnego, opodal tu i ówdzie wznoszą

się pagórki piaszczyste, porośnięte sosnami. Gorąco doskwiera, konie biegają leniwie, sen morzy towarzyszy podróży. Nareszcie spostrzegamy jezioro Szackie „Lećmierz” albo „Lećmier”, które leży z prawej strony drogi, ma 5 wiorst długości i pół wiorsty szerokości, a wzniesione nad powierzchnię morza 346 stóp—106 m. Głębie Lećmierza mają być znaczne, a dno jakoby „granitowe”. Rozłożona za jeziorem wieś Szack, liczy około 1500 mieszkańców. Odległość wsi od Włodawy ma wynosić 26 wiorst, a od Lubomla 35 w. Z lewej strony drogi, widzimy jezioro „Czarne”, oddzielone od Lećmierza wązką wzniesieniem, po którym bieży szosa; jezioro to jest małe i otoczone błotnistymi łąkami.

(DCN)

Dr. Ben. Dybowski.





Z dziejów Miechowa. ²⁾



B. KLASZTOR BOŻOGROBCÓW W MIECHOWIE W STANIE OBECNYM

fol. ze zbiorów Polsk. Tow. Krajozn.

9-num. Kiedyby Kościół i Konwent był drewniany i zgorzał, toby my się od miasta na puł mile odstawili i niepotrzebowalibyśmy płacy za nasze szkody konwenskie i kościelne, ale że nasz Kościół i Konwent jest murowany, więc z nim ustąpić od miasta nie możemy; consequenter (a zatem) Miasto Kościołowi i Konwentowi ustąpić powinno, nie pretendując nadgrody.

10-mum. To się też podaje do reflexyi, że miasto Miechów nie jest Szlacheckie, ale prawdziwym kościoła zgorzałego posagiem, bo in dotem (na uposażenie) temu Kościołowi oddane: i lubo to Miasto teraz nam jest odebrane, postaremuż tego Kościoła jest własne i Dziedziczne, za czym gravissimum esset (było bardzo uciążliwie) Kościołowi miechowskiemu od swego Dziedzicznego miasta, a bardziej od kilku szynkowych Domów i chlewów z cmentarzem i konwentem złączonych, iuż po kilkakroć razy extremam ponosić cladem (ostate-

czną—kłęskę); z czego się wnosi i krzywda Bogu samemu uczyniona, bo upadła chwala Boska we dnie i w nocy w tym tu kościele trwająca, która i za lat sto impensis nostris (naszym nakładem) reparowana bydz nie może. O taxę (o opinię, o wyrok) upraszamy, komu praestantia adjudicabitur (pierwszeństwo będzie przyznane): czy chwale Boskiej i Kościołowi, czy kilkām szynkowym chałupom i mizernym chlewowi, które nam milionowe szkody poczyniły. Lapidēs de pariete (kamienie ze ściany) zrojnowanego i upadłego Kościoła clamant justitiam (domagają się sprawiedliwości).

11-mum. Składaiają na nas Mieszczanie, żeśmy okazyia pogrzenia miasta, a to ztąd, że Gabryel Jachowicz miał znaleźć (ut nobis opponunt, jak nam zarzucają) trochę prochu tego, którym strzylano na odległej od miasta górze za kościołem Ś. Barbary podczas Processyi Wielkanocnej i którym znalezionym on potym w Poniedziałek wielka-



nocny strzylający *ex instrumento non bene apto* (z przyrządu nieodpowiedniego) do strzylania zapalił chałupę strzechą poszytą, *consequenter* (wskutek czego) zapalił Miasto, Konwent i kościół.

Na to odpowiadam, że ten fundament skłania pogorzelniska (właśc. pożaru) na nas jest bardzo mizerny i niegodziwy i nic nie ważący, bo Gabryel Jachowicz zeznający, iż trochę prochu *cir-citer* (około) c.terech naporstków znalazł na tym miejscu, gdzie nasi ludzie strzelali nawielkanoc, nie jest godzien wiary, bo jest *incendiarius et reus gravissimi damni* (podpalacz i przekonany o ciężki występki), za które, gdyby to zrobił w inszych Dobrach, nie duchownych, byłby surowo karany. Jego tedy proste zeznanie nic nie waży, a choćby i przysiągł, to takie przysięgi *non admittuntur* (nie dopuszczalne). Insi mieszczanie, choć prochu nie znaleźli, a mieli czym strzelać: więc i ten Gabryel Jachowicz nie był tak *extreme* (tak dalece) ubogi, aby nie miał sześciu albo dwonastu groszy na kupienie prochu do strzelania. To tedy zeznanie o znalezieniu prochu od niego jest to wynalazek wymyślony na to, aby nas szkalować i na nas włożyć jakąkolwiek okazją pogorzelniska (pożaru). A dajmy to, choćby była prawda, że opomieniony Jachowicz znalazł kilka naporstków prochu, to ztąd nie idzie, żeśmy okazją dali *ad incendium* (do pożaru), bo choć kto zgubi pistolety nabite, a potem ich (je) inszy znajdzie i zabije nimi kogokolwiek, tedy ten, który zgubił pistolety, nie jest okazją zabicia. To też dodaję, że *unus testis nullus testis*, *etiamsi sit maxima dignitate fulgens* (jeden świadek nie jest świadkiem, choćby nawet jaśniał najwyższym dostojenstwem), a dopiero *homo incendiarius, cum sit unus testis, proinde est nullus testis* (podpalacz, ponieważ jest jedyny świadek, a więc nie jest świadkiem).

12-mum. Gdyby nasz Konwent *futuro tempore* (w przyszłości) ogniem się zaiął i gorzał razem z kościołem, (*cui casui ieseśmy subjecti*, takiemu wypadkowi podlegamy), za czym gdyby Domy miejskie tak były bliskie kościołowi i kowentowi, iako teraz są, toby miasto było *in periculo incendii* (toby miastu groziło niebezpieczeństwo pożaru) i mogłoby zgorzeć od konwentu, zaczym aby my od miasta i miasto było bezpieczne od nas, *omnino necessarium est* (w każdym razie, rzecz konieczna), aby oddalenie Domów miejskich od kościoła było i konwentu.

13-tum. Gdy grano, tańcowano, śpiewano w szynkownym Domu Łodeckiego albo Wrzeszczowica, wtenczas niepodobna było mieć mszy świętej przed wielkim ołtarzem, bo wszystkie te zgiełty, śpiewki i dudy przed wielkim ołtarzem zbyt wielką czyniły dystrakcją; dopiero gdy pijacy weselnicy strzelać poczęli, to się i ołtarz i okna trzęsły.

14-tum. Gdy Jarmark, targ, święto przyszło, wtenczas zakonnikom w apartamencie klasztoru ku miastu i stajniom się ciągnącym niepodobna było spać w swoich celkach, dopieroż iaką przystojną sobie odprawić medytacją, lub się gotować na lekcją, albo kazanie; tego zgiełty, wrzaski, które od pobliskich słychać Domów, nie dopuszczaly. Te same i w kościele tak na małym iako i wielkim chórze, Jutrzni pułnocnej kursowi, medytacjom pułnocnym wielką sprawiły dystrakcją. W tych samych celach mieszkającym xieżdzą trzeba było zawsze mieć zamknięte okienice, *ut non appareant* ludzie (żeby nie byli widoczni ludzie) na potrzebę idący naturalną.

15-tum. Gnoiówki z ich obór tak browar klasztorny odliwały, żeśmy piwa robić nie mogli.

16-tum. W inne dni powszechne, gdy owce, krowy i nierogate bydłeta, psy, gęsi i kaczki w swoich pod klasztorem chlewach poczną kwiczeć, ryczeć, beczyc et. c., to w trzeciej części klasztoru nietylko nic się nie robić nie da, ale uciekać prawie potrzeba.

17-mum. Jakiekolwiek swawole pijanych parobków z dziewczkami były w tyłach pod klasztorem, browarem, stajniami położonych Domów, te wszystkie do (z) cel klasztornych widać.

18-vum. Kiedykolwiek lamentowaliśmy na strzechy, chlewy z konwenkiem murami złączone, odpowiadali mieszczanie: ten browar w naszych placach, te stajnie i kościół w miejskim placu.

19-num. Gdy po Cmentarzu *cum sanctissimo* Proscessyia bywała, po murze Cmentarzowym kozy od Wrzeszczowicza skakały często z kupy gnoiu na ten mur wskakujące, który gnój mur cmentarzowy zbyt psował.

20-mum. Niedawnemi czasy szli ludzie na nabożeństwo do kościoła, a Wrzeszczowicz z żoną swoją gwałty wielkie czynił. Widać było samę Wrzeszczowicową na murze cmentarzowym siedzącą, do której sam Wrzeszczowicz z kiiem czyli z fuzyją przyskakiwał, na murze zaś siedząca Wrzeszczowiczowa dachówkę z muru odzierała Cmentarzowego i ona się salwowała, na głowę mężowi rzucający”.

Tak się bronili kanonicy miechowski przeciwko oskarżeniu, wniesionemu przez mieszczan. Po której stronie stanął opat, na to nie mamy pod ręką dowodów, ale że nie był zadowolony z konwentu, wynika stąd, że odmówił całkowicie udziału w nakładach na podźwignięcie z gruzów kościoła i klasztoru, a ta okoliczność stała się znowu przyczyną zatargu pomiędzy nim a przeorem. Skutkiem tego dopiero w cztery lata po klęsce rozpoczęto odbudowę świątyni. Roboty, zabiegliwością Radlińskiego prowadzone, trwały do r. 1762, nadając świątyni ten charakter, który zachowała do dnia dzisiejszego.

T. Włoszek.



Ze skarbów naszej przyrody. 9)

Różaneczniki w Polsce. 1)

Różanecznik (*Rhododendron*) narówni z szarotką i gencyaną należy do najbardziej znanych i cenionych roślin górskich. Ktokolwiek odbywał wycieczki turystyczne po górach Europy środkowej, ten zna dobrze te niewielkie szeroko rozgałęzione krzewy o liściach drobnych, skórzastych, wiecznie zielonych, spotykane dopiero powyżej granicy lasów w krainie kosodrzewu i łąk alpejskich, gdzie zdaleka nęcą oko wspaniałą purpurą swych gęstych bukietów kwiatowych. Kwiaty te stanowią zazwyczaj poszukiwaną i łatwą zdobycz dla każdego turysty i są poniekąd nagrodą pocieszenia dla mniej wprawnych alpinistów, którzy nie mogą ze zreżnością kozicy wspinać się na strome skały w poszukiwaniu godła szczytów niedostępnych — szarotki. Spotkać je można zarówno w Alpach na całej ich przestrzeni — od Wiednia do Nicei, jak i w Pirenejach; kwitnąc o różnej porze w zależności od wysokości, przez całe lato są one ozdobą kapelusza pasterza szwajcarskiego, który w nazwie porównywał je do najulubieńszych kwiatów — róży i goździka (*Alpenrose*, *Bergrose*, *Alpnägeli*, *Bergnägeli*). Spotykamy je najczęściej w bukietkach, sprzedawanych na stacjach górskich, czy to będzie na Semmeringu czy w górach Szwajcaryi; a niektóre towarzystwa alpejskie wzięły sobie te piękne kwiaty za godło.

Botanicy rozróżniają w Alpach dwa gatunki: jeden o liściach cienkich, zlekką ząbionych, pokrytych długimi włoskami, tak zw. różanecznik szorstki (*Rhododendron hirsutum* L.), drugi posiada liście grubsze, skórzaste, na brzegu zawinięte, o dolnej powierzchni gęsto okrytej tarczowatymi gruczołkami barwy rdzawej; stąd nazwa — różanecznik rdzawy (*Rh. ferrugineum* L.). Na granicy zetknięcia się powstaje często mieszaniec pomiędzy tymi dwoma gatunkami, tak zw. *Rh. intermedium* Tausch, podobny zarówno do pierwszego, jak i do drugiego. Pierwszy spotyka się rzadziej i jest typowym przedstawicielem skał wapiennych, gdzie rośnie na otwartych, suchych, zalanych słońcem stanowiskach; podczas gdy drugi przekłada głębię wilgotną, bogatą w próchnicę, granitowe podłoże i cieniste zbocza północne. Dziwny urok wywierają te krzewy — krzepkie dzieci gór o płomiennych kwiatach południa, bijące w oczy kontrastem swych gorących barw na tle ciemnej, jednostajnej zieleni kosodrzewu.

Ktokolwiek w myśl zwykle stosowanej u nas

zasady: „Cudze chwalicie, swego nie znacie...” po zwiedzeniu gór Europy Zachodniej skierował swe kroki ku naszym Tatom, ten doznał rozczarowania, nie znajdując w nich tej królewskiej ozdoby. Flora prof. Berdaua¹⁾ nie wymienia różanecznika wcale. To też niemalą sensację wywołała swojego czasu wśród botaników polskich wiadomość, że Niemcy, podczas wycieczki zbiorowej w Tatry, urządzonej pod wodzą prof. Aschersohna²⁾ z Berlina w r. 1865, znaleźli jeden okaz różanecznika szorstkiego, i to w dodatku nie w jakimś zakątku mało uczęszczanym, lecz na dobrze znanym wszystkim turystom Giewoncie.

Gdyby nie powaga nazwiska znanego badacza niemieckiego, możnaby przypuszczać, że mamy tu do czynienia z jakąś mistyfikacją; to też niebrak było niedowiarków, zwłaszcza, że nie znalazł wcale tej rośliny i najlepszy znawca flory Tatr, B. Kotula³⁾, autor pomnikowego dzieła o rozmieszczeniu roślin w Tatrach, który z barometrem w ręku zbadał szczegółowo wszystkie szczyty, zbocza i przełęcze, wszędzie notując skrupulatnie stanowiska roślin. Jednakże istnienie tego krzewu na Giewoncie może być uważane za niewątpliwie, gdyż potwierdza to prof. A. Rehmann⁴⁾, który jakkolwiek sam go w Tatrach nie zbierał, lecz widział jeszcze świeże jego gałązki i kwiaty w bukietku, zatkniętym u jednego z juhasów, pasących owce na tej górze.

Tego rodzaju odosobnione stanowisko rośliny, która zwykle występuje gromadnie, świadczy, że warunki klimatyczne, obecnie panujące w Tatrach, nie sprzyjają jej rozwojowi; rosła ona prawdopodobnie niegdyś w większej obfitości, obecnie zaś znajduje się w stadium wymierania. Świadczą o tem również nieudane próby sztucznego rozpowszechnienia różanecznika w Tatrach, przedsięwzięte przez Węgierskie Towarzystwo Tatrzańskie:

¹⁾ Dr. F. Berdau. Flora Tatr, Pienin i Beskidu Zachodniego. Warszawa. 1890.

²⁾ Ascheron P. und A. Engler. Beiträge zu Flora Galiziens und der Centralkarpaten. Oester. Bot. Zeitschr. 1865. P. 276, 323. Patrz również Sagorski E. u G. Schneider. Flora der Centralkarpaten. II. Leipzig. 1891. P. 376.

³⁾ B. Kotula. Rozmieszczenie roślin naczyniowych w Tatrach. Kraków. Nakładem Akad. Um. 1889—1890.

⁴⁾ A. Rehman. Ziemie dawnej Polski i sąsiednich krajów słowiańskich, opisane pod względem fizyczno-geograficznym. Cz. I. Karpaty. Lwów. 1895. str. 203.



gdyż żywe okazy, sprowadzone z Alp, posadzone w kilku miejscach, prawie wszystkie wyginęły.

Czy jednak to znane w literaturze botanicznej stanowisko na Giewoncie, obecnie może już nie istniejące, jest jedyne? Z góry można przypuszczać, że tak nie jest, gdyż byłby to dziwny zbieg okoliczności, gdyby się zachował tylko jeden jedyny okaz tej rośliny na całej przestrzeni Tatr. Naprawdę jednak poszukiwałem tego krzewu podczas swoich wycieczek tatrzańskich; dopiero w końcu lata r. 1909, podczas pobytu w Krakowie, dowiedziałem się z ust prof. J. Morozewicza, że podczas ostatniej wycieczki geologicznej w gronie swoich uczniów znalazł on różanecznik w Tatrach Zachodnich, które, jako mniej uczęszczane przez turystów, mogą ukrywać jeszcze sporo niespodzianek florystycznych.

Należałoby zbadać dokładnie wszystkie stanowiska tego krzewu w Tatrach i otoczyć je opieką, jako jeden z ciekawych reliktyw naszej flory.

Dla Karpat jednak różanecznik nie jest bynajmniej rzadkością; występuje nawet obficie we wschodniej ich części w postaci odmiennego gatunku, dla drobnych liści zwanego różanecznikiem mirtowym (*Rhod. myrtifolium* Schott); jest on bardzo zbliżony do różanecznika rdzawego, tak, że niektórzy botanicy uważają go tylko za odmianę tego ostatniego. Dla krainy kosodrzewu gór Siedmiogrodu i Karpat wschodnich jest to najbardziej znamienita roślina.

F. Pax¹⁾ w znanym dziele o rozmieszczeniu roślin w Karpatach uważa górę Stoh (mylnie przez niego nazwaną „Stoj”), wznoszącą się postronnie węgierskiej na granicy komitatów beregskiego i marmaroskiego za zachodnią granicę tegoż krzewu w Karpatach. Według H. Zapalowicza²⁾ jednak stanowisko na Stohu należy uważać za odosobnioną wysepkę, granice zaś masowego występowania należy przesunąć znacznie dalej na wschód. „Na samem czole Karpat wschodnich, t. j. na Czarnej Horze”, pisze on, „pojawia się różanecznik w masowej obfitości. Nie znalazłem go już w najbliższym od zachodu pasmie Bratkowskiej (1792 m.). Także w dalszych, jeszcze więcej na zachód położonych, po części wyższych pasmach Karpat (1818 m.), nie znaleźli go ani Rehman, ani Wołoszczak, ani inni badacze nigdzie. Tylko w położonych tuż na prawym brzegu Cisy Czarnej, więc już za linią Przełęczy Tatarskiej, Górach Świdowskich, pojawia

się ten krzew dość obficie; notowałem go tam na wysokościach od 1460—1770 m.”

Tak więc zachodnia granica różanecznika w Karpatach schodzi się mniej więcej na linii Przełęczy Tatarskiej pomiędzy źródłami Cisy i Prutu, przekraczając ją tylko nieznacznie w Górach Świdowskich.

Oprócz wyżej wymienionych niewielkich krzewów, spotykanych dziko w najbliższych nam górach, hodowcom i miłośnikom roślin znane są gatunki różaneczników o wielkich szerokich gęsto ułożonych liściach i olbrzymich różnokolorowych bukietach kwiatowych, które dekoracyjnością swoją nieraz zwracają naszą uwagę w oknach wystawowych u ogrodników; doskonale nadają się one do zdobienia klombów w parkach, i im dalej na zachód, tem częściej spotykamy je hodowane na świeżem powietrzu w ogrodach, gdzie wzbudzają zachwyty podczas pory kwitnienia wspaniałością i bogactwem swoich barw. Są to wszystko przybysze z dalekiego wschodu, przeważnie z gór Himalajskich, z Chin południowych lub Japonii, gdyż tam jest ojczyzna tych bogatych w barwy wiecznie zielonych krzewów.

Tego typu różaneczniki zdobią pomnik Adama Mickiewicza w Warszawie (*Rhododendron arbo- reum*).

Rodzaj *Rhododendron* wraz z bliską krewniaczką *Azalea* liczy aż 186 gatunków, rozsianych przeważnie po półkuli północnej. Najwięcej ich liczą Chiny, bo aż 56 gatunków, z czego na południowe Chiny przypada 52 gatunki; Himalaje wschodnie posiadają 37 gatunków, Japonia — 22, Syberia—7, Archipelag Malajski—34, Ameryka Północna w części zachodniej—7, we wschodniej zaś — 17 gatunków. Widzimy więc, że centrum rozwoju tego rodzaju leży obecnie w Himalajach i Chinach południowych.

Najpiękniejszą kolekcję tych krzewów posiada Królewski Ogród Botaniczny w Kew pod Londynem. Zgromadzili tam Anglicy olbrzymią ilość gatunków z różnych zakątków kuli ziemskiej, tworząc bajecznie piękną aleję różaneczników, gdzie krzewy te rosną na 2-ch zboczach wzdłuż drogi w wielkiej ilości egzemplarzy w postaci gęstych zarośli, jak w naturze, lub też w postaci olbrzymich klombów, rzuconych na tło zielonego gazonu. Widok, jaki się przedstawił oczom moim, gdym w końcu maja roku zeszłego zwiedzał ten ogród, nie da się z niczem porównać.

Bogata wystawa kwiatowa, jaką przedtem zwiedziłem w Haarlemie w Hollandyi, wydała mi się dziecinną igraszką wobec tej prawdziwej orgii barw żywych, jakiegoś bajecznego rozpasania tonów gorących, rzuconych niedbałą ręką nieznanego arcy mistrza na zieloną szatę przyrody-oblubie-

¹⁾ Dr. F. Pax. Grundzüge der Pflanzenverbreitung in den Karpathen. I B. Leipzig. 1898. P. 144.

²⁾ H. Zapalowicz. Prof. F. Paxa „Grundzüge der Pflanzenverbreitung in den Karpathen” ze stanowiska naszego przyrodznawstwa (z mapą). Kosmos. XXXIV. 1909. Str. 986.



nicy. Ileż to przejść od królewskiej purpury poprzez różowość poranku aż do śnieżystej bieli! ile różnych odcieni żółtego mieniącego się złota aż do płomiennej czerwieni, co czyni z krzewu jakąś wizję gorejącą! jaka dostojność i zaduma spływa z bladych fioletów dyskretnie kładzionych na zimne tło zieleni! Znać, że nie chłodne niebo Albionu stworzyło te cuda, lecz gorące słońce dalekiego wschodu, gdzie puszce odwieczne, pełne soczystej zieleni i barwnych krzewów, okrywają pierś gór olbrzymów, wyrosłych nad miarę.

Szkoda wielka, że u nas tak mało rozpowszechniona jest hodowla tych pięknych krzewów w parkach i ogrodach; możnaby znaleźć sporo gatunków, zastosowanych do naszego klimatu.

Najbliżej nas piękne różaneczniki o liściach szerokich rosną w górach Kaukazu, gdzie jest ich aż 5 gatunków. Dwa z nich (*Rhododendron Ungerni Trautr.* i *Rh. Smirnowii Trautr.*) o kwiatach barwy blado-różowej i purpurowej mają bardzo ograniczony zasięg, gdyż rosną tylko w jednym zakątku Kaukazu — w górach Adżaryi, niedaleko od tureckiej granicy w okręgu batumskim; zato trzy inne gatunki grają dużą rolę w charakterystyce szaty roślinnej gór Kaukazu.

Krainę wyżyn górskich w sąsiedztwie z lodowcami i płatami śniegów objął w swe posiadanie na całej przestrzeni głównego łańcucha gór niewielki krzew o gęstych skupionych liściach, u dołu żółtym kutnerem odzianych, o pięknych białych kwiatach — gatunek specyficznie kaukaski (*Rhododendron caucasicum* Pall.). Krainę bujnych lasów Kolchidy, okrywających ją gęstą zwartą masą zielonej gęstwy zbocza południowo-zachodnie głównego łańcucha gór, obrał na siedlisko nadzwyczaj charakterystyczny dla tej prowincji wielki krzew o szerokich, jakby polakierowanych skórzastych liściach i kwiatach barwy różowo-fioletowej — *Rhododendron ponticum* L. Prowincja ta, zamknięta z trzech stron wysokimi górami z otwartym

wylotem na morze Czarne, dzięki sprzyjającym warunkom klimatycznym, posiada niezwykle bogatą roślinność z lasami iście podzwrotnikowymi, z mnóstwem pnączy i krzewów wiecznie zielonych. Jest to nadzwyczaj ciekawy zakątek dla botanika, gdyż tu przechowała się bogata roślinność trzeciorzędowa, która na przestrzeni Europy północnej i środkowej uległa zniszczeniu wskutek zgubnego dla szaty roślinnej okresu lodowcowego.

Różanecznik pontyjski jest właśnie jednym z takich ciekawych zabytków dawnej flory i zasięg jego na Kaukazie ściśle odpowiada wymienionej prowincji, gdzie spotyka się na całej przestrzeni w lasach od brzegów morza aż poza granicę lasów w górach, gdzie czasem, chociaż rzadko, styka się z różanecznikiem kaukaskim; sporadycznie występuje czasem i po drugiej stronie głównego łańcucha gór np. w okręgu Kubańskim, lecz są to już odosobnione placówki.

Najszerzy jest zasięg ostatniego przedstawiciela różaneczników kaukaskich, dla żółtych kwiatach zwanego różanecznikiem żółtym (*Rhododendron flavum* Don). Różni się znacznie od wyżej wymienionych przedstawicieli tego rodzaju tem, że traci liście na zimę, okrywając się na wiosnę, zanim się nowe liście rozwiną, gęstwą złotego obfitego kwiecia, o zapachu odurzającym; przez podobieństwo do Azalei, znany często pod nazwą *Azalea pontica* L., jakkolwiek jest bardziej zbliżony do rododendronu, niż do azalei. Okrywa on oba zbocza, zarówno północne, jak i południowe głównego łańcucha gór Kaukaskich, rosnąc obficie w lasach dębowych i bukowych i występując w postaci zwartych zarośli poza ich granicą w krainie łąk górskich, i stykając się często z dolną granicą różanecznika kaukaskiego; spotyka się często i w górach zakaukaskich, zwłaszcza w zachodniej części; w Kolchidzie zaś wraz z różanecznikiem pontyjskim schodzi wdół aż do samych brzegów morza Czarnego. Prócz tego rośnie jeszcze w górach Azji Mniejszej.

(DN)

Bolesław Hryniewiecki.





W SPRAWIE TURYSTYKI KRAJOWEJ.

W ostatnim numerze pisma „Nasze zdroje” ze stycznia r. b., omawia znany turysta i żarliwy propagator idei fizycznego wychowania młodzieży, nauczyciel gimnazjum kołomyjskiego, p. Henryk Gąsiorowski, sprawę podniesienia i rozwoju turystyki w kraju.

Słusznie podnosi autor, że najdzielniejszym, gdyż podstawowym środkiem ku temu, jest wprost wychowywanie społeczeństwa do tego celu, przez wszczepianie zamiłowania do turystyki już u młodzieży.

„O tem na szerszą skalę nie było dotąd mowy — pisze autor — choć nie brakło i na tem polu odobnionych usiłowań; np. Zarząd Oddziału Czarnohorskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Kołomyi, nie widząc w swoim łonie „zarybku”, który w przyszłości miałby być podporą Oddziału, przystąpił celowo do wszczepiania zamiłowania do górskiej turystyki u starszej młodzieży gimnazjalnej; nie zdołał jednak dotychczas odnieść stąd dla siebie praktycznej korzyści, gdyż uczniowie po wyjściu z gimnazjum, rozeszli się po kraju, nie mając w znacznej części w nowych miejscach pobytu sposobności kultywowania turystyki. Gdyby obowiązek podobny wzięły na siebie władze szkolne, wtedy w przyszłości, we wszystkich zakątkach kraju, a przedewszystkiem w miejscowościach podgórskich, o które najczęściej chodzi (Sanok, Sambor, Drohobycz, Stryj, Dolnia, Kałusz, Stanisławów, Nadwórna, Delatyn, Kołomyja, Kosów, Kuty, Śniatyn), niebrak byłoby ludzi dla tej sprawy

działających, bo wszyscy ze szkoły wynieśli by zamiłowanie do turystyki i zrozumienie korzyści takiego ruchu dla siebie i dla kraju.

W jaki sposób szkoła ludowa i średnia miałaby w tym kierunku działać, to sprawa osobnej rozprawy, lecz tu już rzec mogę, że najprostszą a pewną drogą do tego, — to po pierwsze: uzupełnienie wszystkich podręczników szkolnych polskich („czytanek” i „wypisów”) licznymi, bogato ilustrowanymi opisami naszych gór z ich zdrojowiskami, letniskami, ogniskami artystycznymi, opisami wycieczek na ich szczyty; — a powtóre, racjonalna nauka geografii kraju rodzinnego

Myśli te należałoby jak najrychlej w czyn wprowadzić..”

Nawiasem tu dodamy, że w budzeniu zamiłowania do turystyki u młodzieży szkolnej, przoduje już od wielu lat polskie gimnazjum w Kołomyi, o czem dowodnie świadczy ilość wycieczek, przedsiębrana tak latem jak i zimową porą (na nartach) w bliższe i dalsze okolice.

Po części jest to wynikiem sprzyjających warunków naturalnych — bezpośredniego sąsiedztwa Beskidu wschodniego, a w szczególności pasma Czarnohorskiego i Gorganów, ale niemniej także wytrwałych w tym względzie starań, już w latach dawniejszych ś. p. profesora Emeryka Turczyńskiego, a obecnie dyrektora Skupniewicza i głównego organizatora wycieczek studenckich, prof. Gąsiorowskiego.

W. F.



Z Polskiego Tow. Krajoznawczego.



W niedzielę, dnia 19 b. m. o godz. pół do 6 po poł. odbyło się zebranie Oddziału Łódzkiego. Otworzył zebranie p. W. Kloss, wiceprezes zarządu, p. inż. Franciszek Hirsberg odczytał swój referat p. t. „Rys geologiczny wyżyny łódzkiej”. Treścią odczytu były: Szkic programu badań krajoznawczych (dr. Ludomira Sawic-

kiego); opis położenia geograficznego Łodzi i okolicy; rozmiary hipsometryczne; topografia obszaru; zarys hydro i orograficzny i gleba, jako rezultat zlodowaceń dyluwialnych. Licznie zebrani słuchacze szczerem oklaskiem podziękowali za drobiazgowo opracowany odczyt, oparty na źródłach naukowych. Drugą część odczytu, wyłącznie geologiczną, przyrzekł p. Hirsberg odczytać w lokalu Stowarzyszenia za 2 tygodnie dla grona osób, które się tematem tym zainteresują, jako rzeczą ściśle naukową. Przewodniczący odczytał odezwę Komitetu przy Tow. krajoznawczem w Warszawie, który w celu uczczenia ś. p. Wacława Nałkowskiego powziął myśl



wydania „Geografii ziem dawnej Polski”. Wykonanie przedsięwzięcia tego wymaga znacznych kosztów, dla tego też komitet zwraca się do ogółu społeczeństwa o poparcie materialne, przez składanie kwot wedle możliwości, tak w redakcjach czasopism polskich, jak i w biurze polskiego Tow. krajoznawczego.

P. Jasiński zdał sprawę z wycieczki 2-dniowej do Warszawy na wystawę i zapowiedział drugą wycieczkę w dniu 25 i 26 b. m. w celu zwiedzenia pałaców łażeniokowskich i stacyi filtrów.

Sekretarz zawiadomił, iż w Sekcyi muzealnej pracuje obecnie 8 osób, które podzieliły się czynnościami: jedni gromadzą okazy dawniej zaofiarowane, drudzy czynią starania o nowe ofiary, reszta zajęła się segregowaniem zbiorów.

— Chcąc wypełnić brak dobrych i artystycznie wykonanych zdjęć fotograficznych ciekawych pod względem artystycznym i archeologicznym miejscowości i zabytków Lublina, Oddział miejscowego polskiego Tow. Krajoznawczego zamierzył ogłosić konkurs fotograficzny na następujących warunkach:

1) Konkursem objęte są jedynie zdjęcia z Lublina i przedmieść. Ze swej strony Towarzystwo poleca stare miasto jako nieprzebraną skarbnicę niezmiernie ciekawych tematów.

2) Minimum zdjęć 6.

3) Rozmiar najmniejszy 9×12 , technika dowolna, do odbitek powinny być dołączone klisze. Powiększenia nie będą brane w rachubę.

4) Zdjęcia powinny być opatrzone objaśnieniami, co przedstawiają.

5) Zdjęcia (kopie i klisze) w paczkach winny być nadesłane do kancelaryi oddziału (szkoła handlowa męska, parter) wraz z kopertą, opatrzoną godłem i zawierającą nazwisko i adres dokładny wykonawcy.

6) Ostateczny termin nadesłania zdjęć upływa z dniem 15 czerwca r. b.

7) Klisze nagrodzone stają się własnością Tow., które jednocześnie zastrzega sobie prawo pierwszeństwa przy nabywaniu klisz nienagrodzonych.

8) Przy zdjęciach uwzględniać należy stronę archeologiczną i historyczną: pierwszeństwo przy nagradzaniu będą miały rzeczy dotąd nie zdjęmowane i oznaczające się artystycznym ujęciem przedmiotu.

9) Nagród trzy: I 15 rb., II 10 rb., III 5 rb. lub przedmiot odpowiedniej wartości.

□□□□□□□□□□

W sprawie ustalenia nomenklatury fitogeograficznej (dotyczącej geografii roślin).

Na III zjeździe Międzynarodowym botaników w Brukseli w maju 1910 r. uczynione zostały przez prof. Ch. Flahaulta i prof. E. Schrötera następujące propozycje:

1. Chodzi nie tyle o stworzenie obowiązującego wszystkich kodeksu i „prawideł”, ile o wzajemne porozumienie się co do metod i sposobów wyrażania się. Uchwały kongresu winny nosić charakter „wskazówek” (recommandations) w sensie przyjętym w kodeksie nomenklatury systematycznej.

2. Nazwy ludowe dla zbiorowisk i stanowisk roślin powinny być zachowane.

3. Równolegle można używać zwłaszcza dla głównych typów roślinności czysto naukowych na nowo utworzonych nazw grecko-lacińskich.

4. Prawo pierwszeństwa nazwy (prioritas) nie powinno być stosowane w literaturze fitogeograficznej.

5. Należy wydać międzynarodowy wielojęzyczny spis synonimów, dotyczących terminów fitogeograficznych, pod kierunkiem osobnej komisji redakcyjnej.

6. Dla oznaczenia na mapie formacji zwrotnikowych i podzwrotnikowych zaleca się system zaproponowany w r. 1908 przez Englera.

7. Dla formacji krajów o klimacie umiarkowanym i chłodnym wyżej wymieniona komisja powinna opracować podobny system.

8. Niektóre terminy fitogeograficzne powinny być ściśle sformułowane.

Dla 10-u takich ważniejszych terminów referenci robią próbę ścisłego formułowania.

a. Pod mianem biologii należy rozumieć naukę o istotach żywych — a więc przedmiot botaniki i zoologii dla odróżnienia od nauk o ciałach nieorganicznych.

b. Pod mianem ekologii należy rozumieć całokształt stosunków pomiędzy oddzielną rośliną lub zbiorowiskiem roślinnym z jednej strony, a środowiskiem — z drugiej. Tak pojmowana ekologia obejmuje naukę o warunkach środowiska i zjawiskach przystosowania zarówno oddzielnego gatunku (autoekologia), jak i zbiorowisk roślinnych (synekologia = nauka o formacjach).

c. Należałoby w każdym języku mieć termin ogólny dla jednostek synekologicznych wszelakiego stopnia. Proponujemy w tym celu wyraz **zbirowisko roślinne**—Pflanzengesellschaft.

d. Pod mianem stanowiska (Standort, station, habitat) należy rozumieć całokształt czynników, działających w danym miejscu geograficznym, o ile one wpływają na świat roślinny.

e. Skupienie, asocjacja (Association = Bestandestypus) jest to zbiorowisko roślinne określonego składu florystycznego, posiadające wspólne stanowisko i wspólną fizyognomię. Jest to jednostka zasadnicza w synekologii.

f. **Formacja roślinna** (Formation) jest współczesnym wyrazem określonych warunków życia. Składa się ona z asocjacji (skupień), które różnią się co do składu florystycznego, lecz posiadają wspólne stanowisko i należą do tego samego typu biologicznego (Lebensformen).

g. Wyraz **strefa** (Zone) powinien być używany tylko dla oznaczenia pasów klimatycznych kuli ziemskiej i nie może być stosowany ani do pasów w górach ani do kręgowego rozmieszczenia roślinności wewnątrz formacji („Zonation” podług Clementsa), ani do podziału oddzielnych okręgów (jak to uczynił np. Engler).

h. Dla pionowego rozmieszczenia roślinności w górach i w głębokich wodach należy używać wyrażenia



polskiego krain a. Niem. Stufe (Hohenstufe i Tiefenstufe, franc. „étage”, ang. „belt” dla gór i „shelf” dla głębin.

i. Wyrazu pas „Gürtel” „ceinture” należy używać dla kręgowego rozmieszczenia wewnątrz formacji i grupy formacji („zonation” podług Clementsa, „circumarea” podług Harshbergera).

k. Wyrazu o krąg („Region”) należy używać tylko w sensie poziomym, nie stosując go do krain roślinnych w górach.

l. Należy unikać podwójnego stosowania jednego i tego samego wyrażenia w sensie ekologicznym i florystycznym. Tak np. przymiotnika „alpejski” używają z jednej strony dla oznaczenia krainy górskiej powyżej granicy leśnej, a z drugiej dla oznaczenia określonego typu florystycznego.

□□□□□□□□□□

Z żałobnej karty.

Dnia 25 marca r. b. dokonał długiego a niezwykle pracowitego żywota w Krakowie

Ś. p. MARJAN SOKOŁOWSKI

Odkładając bardziej szczegółowe wyjaśnienie wartości prac Jego do najbliższych numerów, po-prześcić musimy na razie na zaznaczeniu, że czci-godny zmarły był przez długie szeregi lat mistrzem i przewodnikiem duchowym młodzieży studującej przeszłość sztuki naszej, oraz zgoła nie tytu-larnym przewodniczącym w Komisji do badań historii sztuki i kultury w Polsce krakowskiej Akademii Umiejętności.

Cześć pamięci strudzonego a zasłużonego pra-cownika.

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

— Posiedzenie Grona Konserwatorów Galicyi za-chodniej odbyło się dnia 14 stycznia r. b. pod prze-

wodnictwem kons. dr. Tomkowicza. Na rok 1911 wy-brano przewodniczącym d-ra Tomkowicza, zastępcą dr. Lepszego, skarbnikiem dr. Kutrzebę, sekretarzem dr. Muczковского, zastępcą sekretarza dr. Kaczmar-czyka. Przewodniczący zwrócił uwagę, że piękna przy-drożna figura kamienna w mieście Wiśniczu, pochodzą-ca z połowy XVII w., z powodu nieostrożnego składania obok niej materiałów budowlanych do budowy nowego gmachu, narażona jest na uszkodzenie, a nawet podobno ma być usunięta. Zabezpieczeniem tej figury ma się za-jąć dr. Kopera. Na wniosek d-ra Lepszego zgodziło się Grono na zburzenie drewnianego kościoła w Turzy (pow. gorlicki), gdyż nie przedstawia on większej wartości za-bytkowej, a wskutek przegnięcia znajduje się w tak złym stanie, iż grozi zawaleniem; zastrzeżono atoli, że cen-niejsze szczegóły budynku i zabytki ruchome mają być przeniesione do nowego kościoła.—Dr. Kopera zwrócił uwagę Grona na grożące obecnie ponownie rozszerzenie kościoła parafialnego w Niepołomicach. Sprawa ta już od dłuższego czasu jest w projekcie; atoli konserwator ze względu na wysoką wartość zabytkową tego kościoła sprzeciwiał się wszelkiej przebudowie i proponował inne sposoby zaspokojenia potrzeb parafii. Uproszono referenta, by jako właściwy konserwator okręgu zwrócił się do zarządu kościoła o przedłożenie Gronu planów przebudowy.

Dr. Kopera przedstawił sprawę usunięcia rzeźby Wita Stwosza „Ogrójec” ze ściany domu pod L. 8 przy placu Maryackim. Ze względu, iż ofiarodawca tej rzeźby p. Ludwik Halski nie zgodził się na pozostawienie rzeźby na ścianie owego domu ani na ewentualne umieszcze-nie jej na kościele P. Maryi, okazało się konieczne przeniesienie jej do Muzeum Narodowego, przyczem je-dnak na najmniejsze uszkodzenie narażona nie została. Dr. Muczkowski przedstawił sprawę projektowanego przez oba Grona konserwatorów zjazdu konserwator-skiego. Zjazd ten odędzie się w pierwszych dniach lip-ca r. b. w Krakowie, a objąć ma nie tylko zawodowych konserwatorów, ale także miłośników zabytków oj-czystych ze wszystkich dzielnic Polski. Grono uznało wy-soką doniosłość i pożytek takiego zjazdu i wybrało ko-misję do przygotowania zjazdu.

OD ADMINISTRACJI.

Przypominamy Szanownym / Prenumeratorom, że czas. odnowić przedpłatę na kwartał II-gi.

TREŚĆ: *Marya Czaplicka*—Stanowisko etnografii w dobie obecnej; *dr. B. Dybowski*—Dwie Świtezie (z 5 ryc.); *T. Włoszek*—Z dziejów Miechowa (z 1 ryc.); *Bolesław Hryniewiecki* — Ze skarbów naszej przyrody. 5. Róża-neczniki w Polsce; *W. F.* — W sprawie turystyki krajowej; Z Polskiego Tow. Krajoznawczego. — W sprawie ustalenia nomenklatury fitogeograficznej. — Kronika krajoznawcza. — Z żałobnej karty. — Poza tekstem: Typ moldawianina. — Z naszych krajobrazów: 23. Z pow. święciańskiego.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście (motywy łowickie) rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni Piotra Laskauera. — Składał i łąkał St. Miślicki. — Odbijał na maszynie Ign. Kotasiński. — Kłisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki. — Papier krajo-wy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec